

MOTOR

Odtąd już wiedziałem, że każda wiadomość pozyskana lub przeze mnie stworzona, jeśli tylko będę miał komu ją przekazać, jest towarem. I że nie ma bezinteresownego przekazu. Nawet jeśli bezpłatnie, z dobrej woli, z miłości, sentymentu, sympatii, życzliwości cokolwiek oddajemy, nawet najgłębiej przekonani, że to bezinteresowne, altruistyczne działanie – otrzymamy coś w zamian. Zyskamy sympatię, uznanie, wdzięczność, przychylną opinię, podziw, a choćby tylko wewnętrzne zadowolenie, czym podbudujemy swój wizerunek we własnych i cudzych oczach. Chcemy tego czy nie chcemy, przeżycie na Ziemi wymaga wymiany. *Homo sapiens* ma to wbudowane w swój system istnienia i w technologię przetrwania w społecznej gromadzie. Z nadania ewolucji jesteśmy kupcami, podświadomie wiemy z urodzenia, że informacja jest monetą, którą się wkupiamy, i jest nią także każde artystyczne dzieło, czym oryginalniejsze, rzadsze, tym bardziej cenione. Dlatego artysta stara się wytwarzać, malarz i pisarz, i ja między nimi, treści jak najmniej innym znane, aby przywabiać do siebie i przenikać w głowy swoim słowem, dźwiękiem czy obrazem, zostawać tam jak najdłużej. Nie można się łudzić – jakkolwiek trywialnie by to nie brzmiało – w podszewce, u podstaw każdego dzieła, leży chęć, życzenie, przemożne pragnienie oszłomienia, zaskoczenia, pozyskania dla siebie stronników, zwolenników, miłośników, fanów jak to dzisiaj się mówi, a więc „sprzedania” swojego wytworu. I to jest motorem twórczości, zarówno kucharza Kuronia, jak i malarza Beksińskiego. Jeśli ktokolwiek pisze „do szuflady”, to tylko dlatego, że lęka się odrzucenia, obojętności, niedostrzeżenia przez drugih.

Po tamtym doświadczeniu, może poznawszy smak osobliwy tego stanu, gdy ja wiem, a inni nie wiedzą, stan umysłu znany

i ulubiony zarówno przez plotkarzy, jak i przez twórców najwyższego lotu, napędzany wraz z nimi tym samym pragnieniem i nadzieją, coraz częściej starałem się do niego wkraczać. Zacząłem od pisania reportaży dla mieszczuchów, zrazu w „Przekroju” i „Tygodniku Powszechnym”, o świecie tych podziemnych jaskiń, w których byłem pierwszym człowiekiem, których, jak owego „desantu”, nikt przede mną nie widział, a także od architektonicznych projektów konkursowych, nikomu nieznanymi, dopóki ich nie nakreśliłem na swojej rysownicy, a w końcu od własnych powieściowych twórców, przynajmniej w szczegółach różniących się od wszystkiego, co kiedykolwiek w dziejach napisano. I nawet jeśli nie oszalamiających czytelników, to przecież wykuwanych w mozole dla inności, którą gdzieś ktoś w nich odkrywał. To miało stać się ważną treścią moich działań, moim sposobem życia, który sam sobie nałożyłem, podchwyciwszy świadomie popęd dany mi przez Przyrodę. Nie byłem w tym osamotniony. Tak samo spełnia się legion odkrywców i pisarzy, cała zaludniająca Ziemię armia, rzesza, hałastrą, hołota, zbieranina twórców wszelkiego rodzaju, z głowami nabitymi marzeniem o wywyższeniu, o trafieniu pod strzechy, o olśnieniu swym dziełem umysłów i wielkich, i małych.

To ewolucyjny mechanizm, lecz ma on i głębsze, szlachetniejsze podłoże, które świadczy o istnieniu niematerialnego planu. To popęd nie do bylejakiego działania bezpośrednio służącego przeżyciu, jak porwanie komuś kęsa z talerza czy wyciągnięcie portfela. To popęd do tworzenia nieistniejących dotąd rzeczy, do poszukiwania prawd nieujawnionych, nowych punktów widzenia. Do objaśniania tego, co ukryte. Tak więc artyści, twórcy i uczeni są zaprzęgnięci do wielkiego dzieła rozwoju, postępu, przemiany, pochodu. Idą w pierwszym szeregu i krzesanymi przez siebie iskrami rozjaśniają mroki, wyciągniętą dłonią zrywają za-

słony. I intuicyjnie czują, że to jest dobre, słuszne, sprawiedliwe, a nawet wzniosłe, piękne i niepospolite, że uszlachetnia nie tylko ich samych, ale cały rodzaj, bowiem służy Dziełu tak wielkiemu, iż przekracza ono ludzką zdolność rozumienia. Dziełu, które poprzez nich żyje, poprzez nich istnieje. Takie jest prawdziwe oblicze, taki sens najgłębszy, tego najszcześniejszego i najboleśniejszego, dla tych, co go uprawiają, zawodu.

KALAFIOR

Pięć lat przed Powstaniem było oblężenie Warszawy. Dziesięcioletni, drobny, w krótkich spodenkach, niewystraszony ucieczką z Mokotowa do Śródmieścia, odgłosami walki, dymami pożarów, chrzęstem szkła na chodnikach, lękiem dorosłych, jazgotem zenitówek i wyciem bomb zrzuconych przez focke-wulfy i dornieri, nieświadomy tego, że w ten właśnie sposób fala historii przewala grzywacze ponad moją głowę, tego skąd przyszła, co ze sobą niesie i dokąd odejdzie, za to z kieszeniami obrywającymi się pod ciężarem – zamiast kasztanów – dymiących, poszarpanych odłamków przeciwlotniczych szrapneli, pozbieranych w trawie, zaalarmowany syreną, zbiegłem do piwnicy wraz z mieszkańcami potężnej jak skała kamienicy na Górnośląskiej. Znalazłem się tam chwilowo, u rodziny, z Matką i trzyletnią siostrą Małgorzatą.

Przeżyłem więc w tej piwnicy wstyd, jakiego nigdy potem nie doznałem – choć może tylko tak mi się wydaje. Pośród dorosłych i dzieci, kulących się w ceglanych, pobielanych niszach w kolacyjnej porze, w oblężonej stolicy, w huku bomb i jazgocie zenitówek, musiałem ująć zniesiony po schodach i wciśnięty mi w dłonie przez Matkę talerz z gorącym kalafiorom. Jego straszli-

wy zapach wypełnił piwnicę i wiedziałem, nie śmiejąc podnieść wzroku, że wszystkie spojrzenia zwrócone są na mnie, tak strasznie przyziemnego, tak bezwstydnie odsłaniającego swą małość jedzeniem kalafiora w czasie bitwy o stolicę. Kulilem się w litościwym półmroku, zerkając spode łba na utkwione we mnie, szeroko otwarte dwie pary oczu Stefana i Andrzeja Bratkowskich.

Takie było kolejne doświadczenie mego dorastania, w odmětach historycznej burzy, odsłanianie siebie w scenerii huraganu przechodzącego nad światem, poznawanie wyposażenia, z jakim zjawilem się na tej planecie: cech charakteru i usposobienia. Ironią losu odbywało się to nie poprzez dramatyczne przeżycia, upokorzenia, przeraźliwe straty, śmierć, rany, rozstania przetaczające się wokół, lecz poprzez kalafior! Wyszła na jaw ta cecha i na zawsze już ze mną została i stała się automatycznie wykonywaną zasadą: nigdy się nie odsłaniać, nie okazywać słabości i małości, jaką jest publiczne jedzenie kalafiora w niewłaściwej chwili. Zawsze „trzymać twarz”, zawsze być „ponad to”, trwać w chłodnym spokoju w obliczu wydarzeń, nie dać się poruszyć, przejąć, zdenerwować, zaskoczyć, nie okazywać słabości, przywiązania do rzeczy, do miejsc, obyczajów. Unikać małości, pragnień i nałogów.

Odtąd nigdy nie byłem zmęczony, nie musiałem odpocząć, nic mnie nie bolało, choćbym padał z wyczerpania, zawsze mogłem wytrzymać, wytrwać i przedłużyć, iść dalej, odpoczywać krócej, nie bać się, nie dziwić niczemu, nie być zaskoczonym, nie rozpamiętywać, lecz także nie potępiać, nie obwiniać, nie odczuwać żalu. Żadnej słabości i uzależnienia, żadnego związania ani zniewolenia – na zewnątrz. Tak to właśnie grałem.

Czyniąc to z łatwością, bez wysiłku, w naturalny sposób, jak Winnetou i Old Shatterhand, i Ostatni Mohikanin, Piłsudski

i Zawisza Czarny, i innych niewielu żyjących, zresztą tylko w literaturze młodzieżowej, gdyż bohaterowie dla dorosłych, mężczy czy kobiety, to w porównaniu z nimi zawsze żalodne postaci, napiętnowane głębokim odczuwaniem człowieczego losu, niepewnością, rozchwianiem, dramatycznym zmaganiem o zachowanie ludzkiego sumienia i oblicza, ulegający słabościom, ciężko doświadczani, czasem zwyciężający, zawsze nieszczęśliwi, wymuszający współczucie czytelnika – i, nie bardzo wiadomo dlaczego, wydający się jedynymi godnymi pióra prawdziwych pisarzy.

No cóż, odpowiadam sam sobie: wiadomo, wiadomo! Bo taka jest skrzeczająca rzeczywistość życia gatunku ludzkiego.

BESTSELLER

Dwadzieścia lat później Stefan Bratkowski zaproponował, gdy mieliśmy już za sobą pierwsze drukowane teksty, żebym napisał rozprawkę o niezbędnych warunkach stworzenia bestsellera, a on napisze swoją, po czym je złożymy. Nie wyszło nic z tego. Wprawdzie miałem niejasną świadomość, że potrafię to zrobić, nie tylko zanalizować takie dzieło, ale i napisać, lecz nic nie wyszło z wezwania. Było dla mnie, i zapewne dla Stefana, jasne, że umarlibyśmy z nudów, pilując „Sagę rodu Forsythów”, „Przeminęło z wiatrem”, a co gorsze, nasze „Noce i dnie”, choć może już nie „Zbrodnię i karę” albo „Szklaną górę”.

Z jakiegoś powodu obaj ze Stefanem woleliśmy pisać coś innego. Stefan konkrety, nie o ludzkiej duszy, lecz ludzkich działaniach, mających sens i optymistycznych, zaś ja raczej dla młodzieży o samotnych bohaterach, którzy nie przeżywając duchowych dramatów i rozterek, choć postawieni wobec trud-

nych zadań, w pojedynkę stawiają światu czoło i zawsze im się udaje, co nie jest ani „literackie”, ani natchnione, ani wybitne, co za serce nie chwyta, do głębi nie porusza, nie jest „głęboko ludzkie”, nie sięga do „korzeni duszy”, nie draży „istoty bytu”.

„Zauważono – twierdził Arystoteles – że ludzie sławni w poezji, polityce i sztuce byli albo melancholikami i szaleńcami, jak Ajaks, albo mizantropami jak Bellerofont. Obecnie widzimy to samo u Sokratesa, Empedoklesa, Platona i wielu innych, głównie zaś poetów”.

I wszystko stało się jasne. O melancholii nie mam nawet co marzyć, nigdy też nie potrafiłem zaszaleć, to znaczy stracić nad sobą kontroli, odsłonić się, beztrudno ukazać swoje „ludzkie” cechy, pozwolić sobie, by na tak zwanym luzie robić głupstwa świadomie, bez sensu, bez umiaru, jak Hłasko, jak Iredyński, Cybulski, jak Dygat: co się stanie, to się stanie... Od czasu kalafiora zawsze czułem tę działającą samoczynnie blokadę, opór, który mi mówił „nie rób tego!”, barierę, której sam nie budowałem, wbudowaną mi w trzewia, nie wiem nawet: przeze mnie, przez ukryte ego czy jako część psychiki wmontowanej z genami bez mojego udziału? W każdym razie tak było, a jeśli chodzi o mizantropię, to zawsze działałem w zespole, więc i ten warunek nie został spełniony. Byłem zamknięty, nigdy się nie zwierzałem, nie czułem takiej potrzeby, z przeżyć, z uczuć, z marzeń, osobistych planów, ale zawsze będąc z innymi, w zespole, drużynie, niedostatecznie byłem mizantropem. Wielkie dzieło nie powstało, bo z definicji powstać nie mogło. A dzisiaj jestem pewien, że gdybym melancholią i mizantropią miał zapłacić za piarską sławę, z pewnością nie podpisałbym takiego cyrografu.

Jednym słowem, wtedy Bratkowski i ja myśleliśmy jeszcze zapewne o dziele głośnym i powszechnie czytany, może nie w rodzaju rodzinnej sagi czy „Potopu”, ale raczej „Dżumy”,

„Starego człowieka...” czy „Roku 1986”, sądząc, że wystarczy określić zasady i tylko się ich trzymać, siedzieć i dzierżyć pióro dostatecznie długo. Ufni w giętkość własnego pióra i otwarty umysł, wrodzoną łatwość pisania, zapomnieliśmy o tym, że trzeba jeszcze wewnętrznego przyzwolenia. Ale gdy już na dobre wzięliśmy się do przelewania słów na papier, okazało się jasno, że interesują nas całkiem inne tematy...

Zaczęliśmy... – nie, lepiej będę mówił wyłącznie za siebie! Więc zacząłem opisywać to, co sam chętnie czytałem, samotnych bohaterów, raz mężczyzn, raz chłopaków, pokonujących przeszko-
dy w pięknych lub dzikich krajobrazach, różnymi zwrotami losu wepchniętych w kłopoty, lecz niezałamanych, nieznających wahania, duchowych rozterek, dramatów sumienia, prawdziwego strachu, nie muszących dokonywać wyboru, gdyż zawsze wiedzących w naturalny sposób, którądy wiedzie droga, prowadzonych niewidzialną nitką Ariadny, która zapewne przed każdym się rozwija z chwilą urodzenia, wskazując kierunek prawdy i pokoju, a którą tak łatwo jest utracić z oczu, by z czasem wrócić do niej lub na zawsze zgubić. Lecz moi bohaterowie zawsze za nią kroczyli i pewnie kryła się za tym tęsknota autora do takiej determinacji i pewności celu, słuszności wyborów, niezachwianej nadziei, jaka zapewnia najszcześniejsze życie, wprawdzie w materialnym ciele, ale wolnym od ciężarów i ciała, i ducha, i sumienia.

WYBÓR GATUNKU

To wszystko w przebraniu literatury młodzieżowej. Dlaczego? Wtedy ten wybór szaty nie był w pełni świadomy, lecz teraz chyba czas najwyższy, by objaśnić go sobie, choć niezbyt wiado-

mo, po co? Z żalu? Jako usprawiedliwienie, że się nie próbowało zmierzyć z kanonem literackich tuzów, z Balzakiem, Sienkiewiczem, Stendhalem, Proustem, Hemingwayem? Skądże! Nie chodzi o to, lecz o rozliczenie, jasne i bez niedomówień, z wyborami życia. W literaturze „dorosłej” mój, czy raczej bliski mi, bohater nie miał racji bytu, normalny, bez kompleksów, rozterek, słabości, załamań, a więc z założenia literackiej krytyki sztuczny, płaski, nieprawdziwy, chybiony, nudny, papierowy i bez związku z życiem. Wyśmiewany zawsze przez krytyków, spychany na margines Winnetou, Old Shatterhand, Zorro i Zawisza, zastąpieni dzisiaj przez wyszydzanych popherosów – Supermana i Batmana.

O spokrewnionych z nimi, umieszczonych w przygodowym sztafażu, bohaterach chciałem pisać, a tacy byli do zaakceptowania tylko w tym młodzieżowym czytelniczym przedziale, w którym można strawić bajania o prawym charakterze, czystości zamiarów, o niezłomnej odwadze, cudownej przygodzie, prawdziwym poświęceniu, lojalności bez granic, szczęśliwym zakończeniu... Tu więc miałem swobodę i w pełni z niej skorzystałem.

Dzisiaj do mnie dociera świadomość czegoś, co jak sądzę przeczyli krytycy i ja nie doceniłem. Ci bohaterowie o „uproszczonej” psychice to nie gorszy czy niższy gatunek. To równy, wszystkim innym, archetyp. Każdy w obliczu świata staje samotnie i sam się z nim zmagą, choć stara się przywoływać stronników. Ludzkie serce to samotny myśliwy, nawet gdy kroczy w tłumie. A ci bohaterowie oddają tę prawdę głęboką, obnażają treść bytowania na Ziemi, a może i poza nią. Ukazują, kim naprawdę jesteśmy – samotnymi łowcami i tropicielami losu – i to oni, być może, przenikliwiej i prawdziwiej malują najgłębszy model psychiczny człowieka i dają wartościowsze wzory, jak z nim postę-

pować, niż dzieła rozbierające na atomy nieszczęsne i błędzące dusze.

Marek Żuławski napisał w swym „Szkicu do autoportretu”, że „twórczość jest procesem nie tyle intelektualnym, co instynktownym”. Miał rację, choć wyraził ją zdaniem ciężkim jak z ołowiu, z gruba ociosanym i niestrawnym prawie. Lecz niepotrzebnie się czepiam. To właśnie instynkt, a więc coś, czego natury nie znamy, więc może nasza ukryta natura, freudowska i jungowska nieświadomość i archetypy, nasze „ja” ukryte dzierży lejce ilekroć schodzimy z codziennych utartych ścieżek, rzucając się w intelektualną przygodę, w niezwykle, niepospolite działania? Może to ono wybiera nam drogi i modeluje postanowienia? Jest jeszcze coś takiego, jak napoleońska buława w żołnierskim plecaku. Nobel na biurku szeregowego pisarza. Zapewne. Przynajmniej w pewnym okresie, na początku drogi, gdy wszystko jest jeszcze możliwe. Potem, bardzo szybko, pisarz, pewnie nie każdy, zdaje sobie sprawę, że jego emploi w żadnym wypadku nie zaprowadzi go do tej nagrody. Poszedł w inną stronę, inna mu dogadza, pisze po swojemu, czysta, noblowska literatura nie jest w jego stylu. Pewnie by potrafił, a przynajmniej próbował, lepiej albo gorzej wymozolić „Chłopów” czy nakreślić „Quo vadis?”, wyczarować „Sto lat samotności”, ale w gruncie rzeczy, po co? Po co wysilać się na coś obcego, co nie gra mu w duszy, co samo nie spływa na papier, czym się nie pasjonuje, co go nawet nudzi? Więc pewnego wieczora otwarcie sobie mówi: piszesz z przyjemnością, ale coś innego, Pan Bóg tak cię stworzył, taki masz umysł, naturę, psychikę, a więc idź za nimi, za tym, gdzie cię prowadzą, nie pchaj się na salony, nie rób z siebie literata, pisz z zadowoleniem, a jeśli cię wydadzą, to cudowna sprawa! Już do końca życia nie będzie ci doskwierała uwierająca świadomość, że ty nie dosta-

leś, że nie jesteś na szczycie. Będziesz wolnym sobą, piszącym to, co właśnie lubisz, a jeśli ktokolwiek cię w ogóle przeczyta, to bomba i fruta!

To nie znaczy, że będziesz pisał wyłącznie dla siebie. Dla siebie można spać, jeść, czytać, ugotować mleko, kupić bułkę w sklepiku, a więc wszystkie te rzeczy, co nie podlegają zewnętrznej ocenie. Lecz reszta, to co wytwarzamy, zawsze, mniej lub bardziej, tworzona jest z myślą, że ktoś dobrze oceni. Choćby to była myśl skryta, nieznaczną, przez nas samych spychana w jakieś zakamarki myślenia, ona zawsze tam siedzi. Dziwne? Wcale nie! Jesteśmy stworzeniami zaprogramowanymi na starania o przeżycie, a więc się zbroimy, gromadzimy atuty, budujemy swą wartość, uzdolnienia, walory. Wiem, dla wielu brzmi to wulgarnie, prostacko, jest spłaszczaniem geniuszu, odzieraniem z aury świętości twórczej pracy i szczytnych powołań człowieka. Ci jednak niech pamiętają: także twórcy, i to najwyższego lotu, wyposażeni są przez przyrodę w pragnienie przetrwania i muszą i chcą zapewnić je sobie pośród gromady ludzi. Ich bronią, pancierzem, pożywieniem są ich dzieła, które wytwarzają w tym celu. A siłą napędową są często próżność i pragnienie sławy, pieniędzy i władzy. Dobrze, jeśli mają talent, a ich wytwory stają się częścią kultury. Dlatego cierpiał Gombrowicz i jawnie dawał temu wyraz. A Witkacy?

Najbardziej bezinteresowną czynnością, to jest nic nieczynieniem, jak może się wydawać, jest drzemka na plaży, lecz i ona w istocie jest przebiegłym biznesem! Organizm nie tylko oszczędza energię, a jeszcze ją czerpie z kosmosu, poprawia się zdrowie i samopoczucie, rozmywiają się stresy, zaś społeczne korzyści z twarzy opalanej trudno wprost przecenić. Jeśli takie zyski daje nicnierobienie, jakież muszą płynąć z mąk twórczych wszelkiego rodzaju!

Tak więc przyjemne jest pisanie podszyte cichą nadzieją, że znajdzie to uznanie, spodoba się innym i uściele ci życie. Nadzieją tak cichą i skrytą, jak delikatna drabinka w pergoli podtrzymująca bujne kiście glicynii fioletowej. Ona jest rusztowaniem, które sprawia, że twórca trwa przy swoim dziele, powraca do niego, prowadzi je, ulepsza, zmienia, poleruje, z ciągłym przekonaniem, że słusznie wypełnia życie, że nie marnuje danego mu czasu, że jest kimś, kto tworzy, a więc potrzebny jest światu. Te właśnie osobiste nadzieje – drabinka w pergoli – utrzymują nas w ruchu, pozwalają trwać w stadzie, wspólnie coś budować. One, choć przyziemne w pospolitym mniemaniu, nie poniżają nikogo i nie ujmują wartości jego dziełu.

Zresztą i przyjemność pisania nie zawsze skutkuje, i talent, i artystyczna dusza! Są tego przykłady. Nie wiem, czy tak samo to widzi Piotr Wojciechowski, z którym kiedyś pełzaliśmy w jakiejś tatrzańskiej jaskini, ale niech się dowie, że dla mnie jest jedynym w tym kraju pisarzem prawdziwie noblowskiego wymiaru i pokroju, albowiem tworzy artystyczne literackie światy nieskażone prywatą, bezinteresowne, dalekie, czyste gatunkowo, zmyślane, żyjące same w sobie, odmienne rzeczywistości, równoległe odbicia naszego świata.

PRZYGOTOWALNIA SŁÓW

Tak więc sprawia mi przyjemność pisanie. Cieszę się, że te słowa wydobywam z siebie. Choć w mej świadomości pojawiają się w gotowej postaci, choć nie mam pojęcia, jaki za tym się kryje mechanizm mózgowy, jaka fabryka pomysłów, słów

i zdań je przygotowuje, formuje, ocenia, dobiera, zatwierdza i wypuszcza do sfery świadomej, mam skądś przekonanie, niemal pewność nawet, że one są moje... Czy rzeczywiście? W końcu zwykle je akceptuję, ale nie zawsze od razu, zawsze odczuwam lekkie zaskoczenie tym, co „się napisało” na moje zamówienie. Jeśli mi to nie odpowiada, wtedy dokonuję zmiany, a to znaczy, że przyrównuję tekst do jakiegoś wzoru, że mam do niego dystans tak długi, aż uznam, że jest zgodny z oczekiwaniem.

Ten wzorzec z pewnością tkwi gdzieś w nieświadomości i jakby z trudem dociera do obszaru świadomego myślenia, gdzie objawia się w słownej postaci. Gdyby był od razu jasny, widoczny i oczywisty, nie byłoby potrzeby poprawek. Pisałoby się i mówiło od razu i bez wahań to, co się chce wyrazić. A może te trudności to tylko problem techniczny? Niematerialna myśl, idea, rodząca się w postaci wspólnej i zrozumiałej dla wszystkich ludzi, musi być wyrażona w określonym języku, zmaterializowana w słowach jednej mowy, według jej zasad logiki, gramatyki, ortografii, idiomów, typowych słownych zbitek? W tej fazie materializacji, tłumaczenia, może zbyt pospiesznie „wskakują” gotowe sformułowania, gotowe ciągi zdań, utarte powiedzenia, które po chwili aparat kontroli uznaje za niewłaściwe, odsyła je do przygotowalni, by tam znaleziono właściwsze niż one.

To także mogłoby wskazywać, że ja, akceptujący, nie jestem tożsamy z tym, kto tworzy pierwotną wersję. Tak więc każdy piszący i mówiący miałby w sobie niezależnego mówcę i pisarza? To nieprawdopodobne. A poza tym, jakaż by to była niezależność tego kogoś czy czegoś, skoro bez wątplenia czerpie ono z moich doświadczeń, mojej wiedzy, mojej pamięci, mojego sposobu widzenia?

Z kolei może ja tylko się ludzę, że z moich? Może one są „jego”, tego bytu, który osiadł w moim ciele i używa mnie jako swojej tuby. To jednak by znaczyło, że ja jestem nim, bo ciało nie ma przecież znaczenia, ciało i jego umysł to tylko urządzenia, istotą jest korzystająca z nich świadomość, w niejasny sposób powiązana z duszą. No tak, ale dlaczego w takim razie w ogóle postrzegam tę dwoistość w sobie, dlaczego budzi się podejrzenie, skoro powinna być całkowita jedność, pewna i niezachwiana, co do własnej istoty? Dlaczego spostrzegam, że nie panuję nad całym procesem, niby to własnego myślenia, dlaczego nie jest dla mnie przejrzysty od początku, od zera, dlaczego nie biorę udziału w układaniu zdań od pierwszej litery? Dlaczego coś mnie wyręcza w tej fazie, w tym obszarze, gdzie nie mam dostępu? To właśnie niepokoi i każe mi przypuszczać, że ten proces się dzieje poza granicą materialnych struktur mózgu, spłotów szarych komórek, w subtelnej przestrzeni zapewne transcendentnego pola. Tego, w którym tkwi dusza, być może razem z pamięcią człowieka, z innej niż ciało substancji utkana i tylko na czas życia zakotwiczona w ciele. Może to jej myślenie? Więc może tam, po tamtej stronie, jestem ja prawdziwy, właśnie wszystkiego świadomy, od najdrobniejszego szczegółu kierujący działaniem i myślami mnie fizycznego, delegatury cielesnej wypchniętej do ziemskiego wymiaru, ciężkiej, topornej przybudówki do mnie duchowego, która nie wszystko musi wiedzieć, chociaż ją to dręczy, a nawet poniża.

Coś w tym modelu musi być prawdziwego. Potwierdzają to senne marzenia, które okresami nachodzą mnie w nocy, długimi seriami, wyraźne, jaskrawe i w oczywisty sposób, jak stwierdzam to rano, będące przekształceniem moich dziennych przeżyć, dokonanych jednak bez mojego świadomego udziału, przez tę niewątpliwie myślącą, ukrytą część mojej istoty.

SEN O PRADZE

Już siedemdziesięcioletni jedną z nocy w łóżku spędziłem na snuciu się z aparatem fotograficznym po europejskim mieście z XIX-wieczną architekturą. Stawałem przed fasadami austro-węgierskich gmachów, oper, filharmonii, secesyjnych pałaców z pozieleniałymi kopułami, setkami gzymsów, rzeźb, portali, atlasów, kariatyd, maskaronów, nisz, tralek, wykuszów, w takim nagromadzeniu, takim ozdobnym stężeniu, jakiego nie zniosłaby architektura prawdziwa, lecz tam we śnie wszystko to było cudownym przepychem, nagromadzeniem, kwintesencją i skondensowaniem stylu. I wglądałem w uliczkę, gdzie kamienice mieszkalne widoczne były z boku, w skrócie, też bogato rzeźbione, usiane postaciami widocznymi z profilu, elewacje jakby odlane ze spiżu, kipiące wolutami, bogactwem szczegółów, kolumienek, głowic, okapów, wsporników, medalionów. Chciałem tę perspektywę sfotografować i znalazłem ujęcie poprzez odlane z brązu końskie głowy widoczne na pierwszym planie... I nagle coś się przełączyło, ujrzałem wielkie, gładkie bloki kremowego koloru zwieńczone kopułami, jakby Hagia Sofia, jaskrawo rozświetlona zachodzącym słońcem – tak ją kiedyś widziałem – a całość na tle ciemnego już nieba, kobaltu już niemal nocnego, w olbrzymim kontraście, który smakowałem, to zestawienie, tę promienną, architektoniczną zjawę na tle kobaltowego mroku.

Gdy wreszcie się zbudziłem, zrozumiałem od razu, że był to powrót do Pragi, po której chodziłem przed dwoma tygodniami, podsunęty mi tutaj bynajmniej nie w postaci pocztówkowych obrazów, lecz stokrotnie wzmocnionych, zagęszczonych, ulepszonych dla wywołania jeszcze mocniejszego wrażenia, podziwu, zachwytu. Zrozumiałem, że gdyby Praga na jawie była taka,

byłaby niedoścignionym, jedynym cudem świata. Lecz nie o to chodzi. Chodzi o nieświadomość, która mi pokazała, że tworząc obrazy, więcej może uczynić, niż to, co widzą oczy. Stworzyła senną rzeczywistość, jakiej nie umiał stworzyć człowiek. Z widzianych na jawie elementów ulepiła fantastyczne twory. Nie ja to zrobiłem! Nie brałem w tym udziału, ujrzałem gotowe obrazy i zachwyciłem się nimi tak, jakby na jawie. Nie czułem w nich niczego własnego, byłem nimi zaskoczony, jak turysta wychodzący zza rogu, gdy roztacza się przed nim nieoczekiwany widok. Więc jednak w moim umyśle majstrowała ręka niezupełnie moja! I przykleiła do Pragi dawne, sprzed niemal trzydziestu lat, wspomnienie meczetu, umieszczonego komputerowym trikiem na tle niemożliwym – świątynia w blasku słońca, ale na tle nocnego nieba!

Tę dwoistość, niespójność we własnej istocie trzeba mieć na oku, śledzić ją i starać się pojąć, na czym polega i z czego wynika, choć nie wiadomo, czy to możliwe za życia.

NIETKNIĘTY PRZEZ OKUPACJĘ

Piętnastoletni, nietknięty przez okupację i Powstanie, tak jakby historia działa się obok mnie, oddzielonego od niej pancerną szybą, nietykalnego i nieprzemakalnego, znalazłem się z Matką i Siostrą w Krakowie. Przedtem w warszawski dom na Kruczej uderzył pocisk „krowy”, niemieckiego moździerza, i zamienił w rumowisko rodzinne mieszkanie malarza Kazimierza Pękalskiego, położone nad naszym. W chmurach wapiennego pyłu, kaszląc i dusząc się, wbiegłem tam po ceglany rumoszu

zaścielającym białe marmurowe schody, precisiuałem się pod zdruzgotanymi drzwiami, obsuwającymi się jeszcze belami stropu, w osypującym się gruzie, kurzu wciskającym się do oczu. Nie znalazłem nikogo, ukryli się w piwnicy. Zrobiłem to, tak nieczuły na niebezpieczeństwo, jak pośród dekoracji filmowych. Już zawsze tak było. Tak już pozostało. Zagrożenie nie docierało do mnie. Wchodziłem bez obawy do tych miejsc frontowych, tylko czyhających na kruche ludzkie ciało. Dziś sądzę, że być może nie była to zuchwałość, fanfaronada, głupota, niewrażliwość, lecz podświadome wyczucie, intuicyjna wiedza, że nic mi się nie stanie, pewność skądś mi dana, że dla mnie nie ma jeszcze zagrożenia w tym, tutaj, dzisiaj, krajobrazie zagłady.

Wychodziliśmy po Powstaniu z Warszawy z kolumnami mieszkańców, dźwigając nasze tobołki do Pruszkowa, do wielkich hal przy torach, gdzie pokotem, wśród tysięcy ludzi kładłem się spać na betonie, tak naturalnie, spokojnie i z zadowoleniem, jak na własnym tapczanie i jeszcze nie wiedząc, że jest to umiejętność, stan ducha, który pozwoli mi kiedyś, w różnych miejscach świata, gdy trzeba, wysypiać się, gdzie popadnie, w pokrzywach pod murem, w cuchnącej latrynie, w pustynnym grobie, w błotnistej jaskini, śnieżnej dziurze na grani.

Całym naszym skarbem wyniesionym z ruin była garstka biżuterii pozostała po okupacji oraz fotografie. I to była najmądrzejsza decyzja Matki, bo fotografie zostały nam do dzisiaj i Ona, dziewięćdziesięcioośmioletnia, może oglądać siebie z braćmi Karolem i Heniem pod dzikim winem, w mundurkach od Górskiego, a także siebie, wydekoltowaną, z Ojcem we fraku, na balu, Karola z Ojcem nad Wisłą, na pomoście Oficerskiego Yachtklubu, ja siebie, czteroletniego w mokotowskiej piaskownicy na Ursynowskiej, z Ojcem kucającym z moją łopatką w dłoni, po

powrocie z kościoła i kupieniu ciastek u Lardellego na placu Unii, przed niedzielnym obiadem, na który przyszedli Markiewiczowie, i opowieścią kapitana o jego rekordowym przelocie RWD-5 z Warszawy do Afryki.

Wkrótce potem byliśmy znów wszyscy na zawodach Gordon-Benetta na Polu Mokotowskim, skąd startowały olbrzymie balony, a kapitan Skarżyński, opromieniony samotnym przelotem Atlantyku, trzymał mnie na kolanie i upewniał, że jeśli zechcę, na pewno zostanę, tak jak on, pilotem... Żaden z nas nie mógł tego wówczas przewidzieć, że 15 lat później, w moje mocne chcenie wda się obca siła, która sprawi, że po ukończeniu teoretycznego kursu szybowcowego usłyszę: „Nie macie co się starać o loty szkoleniowe, wasze pochodzenie, sami rozumiecie...”. Zresztą, bądźmy szczerzy, i tak nie zostałbym pilotem, mam niestosowną do tego psychikę. Więc może nie warto się jeżyć na takie kłody, rzucane nam przez los pod nogi? Może są mniej złośliwe oraz przypadkowe, niż nam się wydaje?

Te zdjęcia były więcej warte niż wszystkie rodzinne antyki i kryształy, razem z chińską wazą z przejrzystej porcelany, którą stłukłem w czasie okupacji, potrącając piłką smukłą serwantkę, pod którą mieszkał krasnoludek, bo nie miały wartości materialnej, bo były tylko zapisem pamięci, chwil, osób i twarzy, były substancją żywiącą świadomość, nie ciało...

Skoro o rodzinnych wspomnieniach i skrytej ręce losu – jeszcze jedna scena z dzieciennego życia, z tych, które może później zaważyły na dorosłym już życiu. To wspomnienie z naszego ostatniego przed wojną mieszkania, na ulicy Naruszewicza, na Wierzbnie, w Warszawie. Pamiętam to jak dzisiaj: ośmioletni, w stołowym pokoju, na dywanie, wznosiłem z klocków-deseczek z wrębami jakąś budowle, zaś nad moją głową, na dużym rozło-

żonym stole, Ojciec, schylony nad mapami, plikami dokumentów i planami samolotów, pracował nad projektem pierwszej polskiej linii lotniczej do Ameryki Południowej. Organizował ją z grupą znanych pilotów wojskowych. Niebawem miały ruszyć pierwsze połączenia z Warszawy do Buenos Aires przez Paryż. Wojna przeszkodziła. Lecz nie chodzi o to. Przyszło mi do głowy, że jest jakiś związek pomiędzy tą sceną a wydarzeniami po latach w moim dorosłym już życiu. Jakby powróciły liczne, podobne do tamtej chwili, przez nią zaprogramowane, wdrożone? Zaciszny pokój, krąg światła na stole, rozłożone papiery, skupiona uwaga, namysł, planowanie. Wielekroć układałem plany wyprawowe, projekty ekspedycji w różne strony świata, wpatrywałem się w mapy, a także rysowałem rodzące mi się w głowie architektoniczne bryły.

Związek przyczynowy? To może za dużo, zresztą, kto wie? Cóż naprawdę wiemy o kształtowaniu się życiowych wzorów? Psychologia roztrząsa wpływ środowiska i wzorców czerpanych z rodzinnego domu na zachowania się i wybory życiowe młodzieży, bo też związków niepodobna przeoczyć. Jednak, przychodzi mi do głowy, może te związki mają głębszą naturę i są czymś innym, niż tylko powierzchowne czerpanie z przykładów, naśladowanie, tresura. Może są wzorcami, których subtelna tkanina wdrukowuje się w umysł tak głęboko, iż dorastający człowiek, chce czy nie chce, przyjmuje je jako środowisko zadane, jedyne, przystosowuje się do niego, do koniecznych zachowań, nie umie i nie widzi potrzeby przechodzenia do środowiska innego, tak jak antylopa urodzona na stepie nie podejmuje trybu życia leśnych jeleni. Czy więc u dzieci nie zachodzi ten sam proces wdrukowania, jaki opisano u wylęgających się kaczek, uznających za opiekuńczą istotę człowieka czy psa, jeśli ten ukaże się im po wykluciu z jaja?

To tylko uwaga, nie ma tu miejsca na pogłębianie podobnych rozważań. Jednak skoro wspominam wydarzenia, które mnie mogły kształtować i swój wpływ wywarły na całe dalsze życie, niepodobna pominąć dwóch jeszcze przypadków młodego stworzenia, niezdolnego do panowania nad sobą. Ośmio- lub dziewięcioletni wyszedłem ze szkoły na ulicy Narbutta i wracałem do domu długą, ale zaciszną ulicą Krasickiego, pędząc przed sobą kolegę. Nie pamiętam już, po co i dlaczego, i co dla mej ówczesnej głowy mogło być powodem, dość, że przez kilometr torturowałem go, bijąc po głowie i plecach workiem z pantoflami. Próbował uciekać, zanim stracił siły, pytał, o co mi chodzi, potem tylko już płakał i szlochał pod ciosami, ślaniał się na nogach, wreszcie, wyczerpany, zdołał przepelznąć przez furtkę swego domu. Wróciłem do siebie, a nazajutrz, po wizycie Ojca u dyrektora szkoły, dostałem lanie laską z prawdziwego bambusa. Czy odegrało ono jakąkolwiek rolę w wychowawczym procesie? Nie-wielką, jak mi się dzisiaj wydaje. Jakoś sam z siebie straciłem ochotę do takich zachowań, zresztą „ochoty” nigdy nie miałem. To we mnie nie tkwiło, nie było utrwalone w psychice, nie było wtedy ani potem jakąkolwiek potrzebą. Stało się jednorazowym wyskokiem przez jakiś bodziec wywołanym, realizacją wzorca zachowania wiszącego w przestrzeni, automatyczną, bezcelową, zadawalającą jakby wzorzec sam w sobie. Działalem jak obojętny automat, choć nie całkiem bezmyślny, bowiem, gdy w pamięci ożywiam tę scenę, obok obrzydzenia i wstydu, które są późniejszym nalotem, dokopuję się do cienkiej jak niteczka myśli, która snuła się wtedy, że worek jest miękkki i pantofle filcowe. A to jest dowodem, że nakładałem jakieś usprawiedliwiające granice tej przemocy. Dzisiaj uczniowie tej granicy nie mają, zabijając kolegów. Ale być może ich agresja – przychodzi mi do głowy – ta sama, która mną powodowała, właściwa wszystkim istotom,

jest naszym niezbędnym wyposażeniem na życie. I nie ma co się na jej istnienie buntować. Tym, co do nas należy, jest nakładanie jej granic, bo zwierzęta czynią to instynktownie. To wskazuje kierunek wychowania dzieci: zdolność do samoograniczeń.

Po latach pojawił się rykoszet. Już w liceum, na oczach całej milczącej chciwie klasy, dwudziestu kilku wyrostków z kielkującymi wąsami, trzepnąłem płasko dłonią w potylicę kolegę, który upokorzony, poniżony, tym, że nie może się zdobyć na odwet, tkwił jak słup, z oczami wbitymi w podłogę i sphywał purpurą. Triumfowałem kilka minut, lecz ta chwala, najpierw zapomniana, wkrótce wypłynęła skądś, z odmętów sumienia, jak plama oliwy na wodę, i odtąd mi towarzyszy w rozmaitych postaciach, wyrzutu, wstydu, żalu i samoupokorzenia. I znów przychodzi myśl, że być może do wszystkich przenikają wszystkie wzorce zachowań stworzone przez przyrodę, wypracowane przez ludzi, a sprawą osobnika jest tylko, czy zechce ich użyć, poddać się im, dać prowadzić, czy też stawić opór i skorzystać z wolności wyboru.

O PRZYJAŹNI

To zdumiewające! Już siedemdziesięciodwuletni, słuchając wywiadu telewizyjnego profesora Osiatyńskiego, historyka, który chwalił przyjaźń, pozwalającą zwierzać się z najintymniejszych przeżyć, szukać rady i wsparcia duchowego u drugiej osoby, zdałem sobie sprawę, że nigdy w życiu ani nie czułem takiej potrzeby ani nie zrobiłem tego! To nie znaczy, że nie miałem przyjaciół, mam ich nadal, ale jeśli kiedykolwiek zwierzałem się im ze swoich spraw, zawsze miało to, co najwyżej, znaczenie anegdoty, opowieści o mniej lub bardziej osobliwym przypadku czy zdarzeniu. Nie potrzebowałem nigdy słów otuchy, bo jak

sądzę, dostateczny jej zapas umiałem zawsze znaleźć w sobie, darowany mi razem z urodzeniem. Nie musiałem pytać, jak postąpić w ważnych stosunkach i układach z ludźmi, bo zawsze instynktownie unikałem zawikłanych sytuacji, nie wchodziłem w nie, nie musiałem się z nich wyplątywać. A jeśli zdarzyło się to raz czy dwa razy, sam wiedziałem, jak postąpić i nie przychodziło mi nawet do głowy, aby na kimkolwiek się wspierać. Nie było mi potrzebne niczyje współczucie. Może także czułem podświadomą niechęć do odsłaniania się, ujawniania słabości, wyczuwając instynktownie zarazem, że od drugiego człowieka nie można otrzymać prawdziwego, pełnego, ostatecznego wsparcia, zdolnego uwolnić nas całkowicie od ciężaru, że w głębi duszy, tak czy inaczej, choć otoczony bliskimi, każdy sam musi się uporać z tym, co jest częścią tylko jego wewnętrznego świata. Dlatego, zranieni, w pierwszym odruchu szukamy odosobnienia. I zawsze, jak sądzę, dochodziło do głosu, może pychą podszyte, moje przekonanie, że trzeba próbować samemu, że gdy chce się naprawdę, można sprostać wszystkiemu. To wydawało mi się piękne, słuszne, czyste w jakiś sposób. Ta potrzeba psychicznej samodzielności tkwiła we mnie od urodzenia, sama z siebie? Odziedziczona po rodzicach? Ześlana mi z nieba? Bo z pewnością niezainicjowana celowo, choć z czasem wypracowywana. Była jedną z tych cech charakteru, z którymi tu przybyłem, nie nabywając ich świadomie, tak jak dwojga uszu i pięciu palców u dłoni.

O SAMOTNOŚCI

Chociaż od prawieków powtarzali mędrcy, że człowiek zawsze jest samotny, skazany na samotność przez swoją postać odrębnego istnienia, nadaną mu przez Przyrodę, wciąż

widziałem dokoła starania współbraci, aby w swoją słabość, nieszczęście, upadek wciągnąć inne umysły. Sam brałem w tym udział, starając się spełnić oczekiwania współczucia i życzliwości, choć nie tracąc z oczu i zachowując na własny użytek to, co było dla mnie jasne, że człowiek żyje w dwóch światach, w rzeczywistości materialnej, w której porusza się ciałem z podobnymi sobie, objijając się boleśnie o kanty i parkany, i drugiej, wewnętrznej, zamkniętej w świadomości, nieprzeniknionej dla drugich, gdzie samotnie krąży w świecie wyobrażeń lub raczej gdzie brodzi w śmietniku i archiwach, w kartotece własnej przeszłości, bo wszystko to, co zdoła sobie uświadomić, jest już przeszłością. I jest tam tak samotny jak Wyspa Wielkanocna w przestworzach Pacyfiku, obwarowany niczym posągami moai, strażą swoich fobii, gustów, poglądów, chęci, niechęci, sympatii, antypatii, idei. Wiedząc to, nie musiałem szukać dla siebie ani współczucia, ani zrozumienia, to ostatnie znajdowałem w sobie i ono pozwalało mi się uporać z każdą chropowatością życia, z coraz większą łatwością, w miarę jak płynęły lata. Pojmowałem, że w samotności jest i coś pięknego, i jakiś sens głęboki, bo wiązała się ona z odrębnością. A być innym, osobnym, to być wyjątkowym, a więc z definicji samotnym i wyodrębnionym, samym nawet wtedy, gdy ma się świadomość kogoś stojącego obok i związania z nim licznymi więzami.

Samotność daje siłę prawdziwą. Nic nie ma bardziej wzmacniającego, budującego, niż pewność, że stoi się naprzeciw wszechświata, słońc, gwiazd, galaktyk, obłoków materii, siłowych pól, potoków promieniowań, oceanów i lasów, skał oraz wulkanów samotnie, w pojedynkę, i trwa się, o dziwo, nadal się istnieje, nawet bez wsparcia legionów, nawet bez bratniej czy też kochającej duszy.

O ODPORNOŚCI

Siedemdziesięciodwuletni, wydaję się sobie całkowicie odporny na klęski, straty, przegrane, pogodnie świadomy, że one nieustannie płyną w tej rzece, przez którą brodzę od urodzenia, są jej substancją przez co muszą wciąż mnie potraćać, uderzać, omywać, wytrącać z równowagi.

Już nie wytrącają. Zresztą, od początku tak było. W dawnych latach jakiś automatycznie włączający się program myślowy kazał mi nie przyjmować do świadomości przykrych zwrotów losu, nie zatrzymywać ich w pamięci, puszczać je w niepamięć, nie rozpamiętywać, nie szukać zadośćuczynienia, racji czy rekompensaty. Toteż dzisiaj witam je z całą otwartością i w pełni świadomie, z nadzieją, że, tak jak dotąd, nic nie zdoła mnie uszkodzić, że pozostanę nienaruszony, niezegorzkniały, nieżałujący, biadający, niepomstujący, nieżądny odwetu, lecz czysty i pusty, niemal nieobciążony żadnym żalem, fobią, niechęcią, poczuciem krzywdy, niepowodzenia, straty, nietknięty i niezraniony przez nikogo.

Wytworzone przez lata psychiczne przeciwciała sprawiają, że dzisiaj, kiedy syn sąsiada poświęca spokojny sen w nocy, aby przedziurawić mi nożem opony, wyłamać wycieraczki i cegłę umieścić na dachu, przyjmuję to tak lekko, jak rozlanie herbaty. Jak kolejne immunologiczne doświadczenie, niepowodujące nawet przyspieszenia serca. W końcu, czy warto są uwagi pyłki kurzu osiadające na szybie?

Te wszystkie uwagi o spokoju, o stanie mego ducha, odporności na zagrożenia, niepowodzenia i straty, na zakręty losu, dla ludzi wrażliwych mogą brzmieć jak bufonada, zrażać i odpychać, zniechęcać do czytania, do autora, jego nazbyt prostego ducha i widzenia życia, podejścia do dramatu świata, do tragedii bytu,

wskazywać na jego emocjonalną prostotę, niezdolność pojmowania, płyciznę myśli i uczuć. Być może się nie mylą. Ja jednak zostaję przy swoim opisie, w tej niewinnej nadziei, że dostarczę świadectwa tym, co potrzebują, co chcą się utwierdzić, że możliwe jest i takie przyjmowanie życia, taki jego sposób, co stąd zaczerpną otuchy i odwagi, pokrzepienia w tym, co ich samych spotyka.

WYPRACOWANIE MATURALNE

A tymczasem kariera. Maturę zdawałem w krakowskim Liceum Matematyczno-Fizycznym im. Króla Jana Sobieskiego. Nie byłoby to istotne, bo każdy gdzieś zdawał, gdyby nie objawienie, jakim okazał się dla mnie pisemny egzamin z języka polskiego. Gdy było już po wszystkim, usłyszałem od dyrektora Rutkowskiego i polonisty profesora Cukrzyńskiego, że uratowałem honor szkoły, gdyż jako jedyny wybrałem temat, uważany za najambitniejszy i stworzyłem coś w rodzaju uczniowskiego eseju. Była to „Próba oceny współczesnej literatury polskiej”. Wybrałem go bynajmniej nie dla ambicji, lecz tylko z tego powodu, że pozostałe dwa tematy wymagały bardziej szczegółowej wiedzy. A kiedy zacząłem już pisać, po raz pierwszy w życiu niezmuszany do wykazania, „jakie cechy społeczne reprezentuje bohater” – klapka się otworzyła i z tego tajemniczego zakamarka głowy, którego do dziś nie rozpoznałem, ukryta tam istota poczęła mi dyktować. Spisywałem jej słowa i zdania płynące jak strumień. Zza nieprzejrzystej zasłony wylaniały się pomysły – do dziś nie wiem, czy moje – i gdy tylko świadomie je zaakceptowałem,

zaraz, płynnie, bez zwłoki, jakby same z siebie zmieniały się w akapity.

Po raz pierwszy poznałem wtedy smak prawdziwego pisania, takiego, które nie musi trzymać się narzuconych szablonów i ściśle wyznaczonych granic, które pozwala wypowiadać treści niecenzurowane, odmienne, własne, dziwaczne, osobliwe i niepospolite. Wiedziałem już odtąd, że potrafię, robię to bez trudu, z przyjemnością, świadomy, że to magiczny proces, czarodziej-skie działanie, stwarzanie materii myślowej, własnej, wyjątkowej, różnej, choćby w szczegółach, od wszystkiego, co dotychczas istniało. A jednak wtedy, chwalony, szczęśliwy, że zdałem, i że wywarłem wrażenie na pedagogicznym gronie, które dzięki wypracowaniu podniosło mi też stopień z matematyki – nie poszedłem w tę stronę! Widocznie konieczny był czas dojrzewania w całkiem innym ogrodzie.

STUDIA

Jerzy Kowalski był jedną z tych osób, które w tajemniczy sposób zostały zesłane, żeby torować mi drogę, wygładzać ją i pomagać mi w przechodzeniu kolejnych etapów. Do czego? To kiedyś się okaże. Na razie wiem tyle, że odegrały taką rolę w moim życiu, jaką stacje węzłowe odgrywały dla lokomotyw, zaopatrując je w wodę i przedstawiając zwrotnicę na nowy kierunek. Właśnie tych kilka osób, które wyłoniły się przy mnie z nieistnienia, jak latarnia z mglistego oparu, w najwłaściwszym miejscu i czasie, pomogło mi przechodzić ze ścieżki na ścieżkę, tak jak tego pragnąłem, choć jeszcze niepewny, dokąd mnie zawiodą. Okazywało się z czasem, że wiodły tropami ważnymi w danej chwili, jednak nie na całe życie. Ale podążanie nimi nie

było stratą czasu, było koniecznym dojrzewaniem przed przejściem na inne poziomy i w inne zakresy.

Ale po kolei. Dzięki temu, że on, mąż mojej kuzynki, Basi Krudowskiej, dziś zmarły już, ukochany dziadek Kasi Skrzyneckiej, ciężko doświadczony przez wojnę, bo w partyzantce stracił nogę, jeszcze obolały, o kulach, z żoną i malutkim dzieckiem, pojawił się w Krakowie i zechciał się mną zająć – przekonana w jakiś tajny sposób uczelniana komisja przyjęła mnie na Politechnikę Krakowską mimo pochodzenia głęboko niesłusznego. Zostałem architektem, a po odebraniu dyplomu zgłosiłem się po nakaz pracy. W tej chwili, mocno poniewczasie, zdałem sobie sprawę, że nie zadbałem w porę o przychylność organizacji studenckiej. Trzymałem się od niej z daleka, najwyraźniej intuicyjnie, bo gdybym się nad tym zastanawiał, może bym doszedł do wniosku, że to się nie opłaci? Że większe szanse przetrwania i wypełnienia posłania ziemskiego, którego jeszcze nie znałem, miałbym, stowarzyszając się z tymi, przy których była siła, którzy w piwnicy bezpieczeństwa, na placu Inwalidów w Krakowie, w pobliżu naszego domu, kopali siedemnastoletniego Dobka Walknowskiego, na uczelni nazywali Bieruta pierwszym architektem kraju, a dnia 1 Maja bez duchowych rozterek dźwigali portrety hydry czterogłowej: Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina-Jaruzelskiego-Millera... Chyba się rozpędziłem...

Tak więc, wprawdzie Jerzy Kowalski zapisał mnie do związku młodzieży, ZMP, o ile pamięć mnie nie myli, aby sobie samemu ułatwić wepchnięcie mnie na studia, dzięki znajomościom w krakowskim miejskim partyjnym Komitecie – ja jednak, niewdzięczny, gdy już mnie przyjęto, nigdy się nie „udzieliłem”.

I znów zatrzymuję się przy tym, gdyż zdałem sobie sprawę, że ten drobny w końcu incydent, niemal odruchowego trzymania się z dala od organizacji młodzieżowej, utrwał i wyznaczał

moje zachowania w stosunku do reżimu, które w następnych latach musiałem bardziej świadomie kształtować, jak każdy, kto chwycił wtedy za pióro. Lecz na razie nie byłem jeszcze literatem i nawet nie śniłem o tym. Moje zachowanie nie przeszło bez echa. Po rozdzieleniu między siebie najbardziej łakomych miejsc pracy przymusowej, młodzieżowi działacze, moi „uświadomieni klasowo” koledzy z roku, pierwsza klika koleśków, o jaką się w życiu otarłem, mnie, obcemu elementowi, wcisnęli nędzny ochłap, jak sądzili, wysyłając mnie z cyniczną pogardą „w żołdacy”, to znaczy do Ministerstwa Obrony. Zrezygnowany stawilem się w szarym gmachu w Warszawie, przekonany, że na kilka lat wyląduję w jakimś zapomnianym garnizonie. Szybko przysnęły obawy. Nadzwyczaj uprzejmy kapitan zapytał, w jakim mieście życzę sobie pracować i zgodnie z moim pragnieniem odesłał mnie do wojskowego biura projektów w Krakowie. Tam, ze spokojem, wykonałem pierwsze powierzone mi zadanie, zaprojektowałem typowy wychodek drewniany, przenośną budkę z serduszkami, przeznaczoną dla stanic WOP-u na wschodniej i południowej granicy PRL. Po wnikliwym przestudiowaniu problemu wprowadziłem rewolucyjną zmianę, rysując, zamiast powszechnie przyjętego odwiecznym zwyczajem okrągłego, otwór w desce o kształcie trapezu z zaokrąglonymi narożnikami. Po burzliwej naradzie zatwierdzającego ciała innowacja została przyjęta. Na Krakowie zależało mi nie tylko dlatego, że tam mieszkalem z rodziną. Nie mniej byłem związany z podkrakowskimi skałkami, gdzie jako adept Klubu Wysokogórskiego uczyłem się wspinać, z Tatrami i nade wszystko z grupą grotolazów.

Niebawem zostałem mianowany inspektorem nadzoru i jeździłem z Krakowa na budowy wojskowe pod Rzeszów, do Jarosławca, Tarnowa i Zakopanego... Pamiętam zimowe noce

pod dwudziestoma kocami w nieopalanym barakach z wybitymi szybami, co w końcu nie było problemem dla mnie, mającego już za sobą tatrzańskie biwaki w śnieżnych jamach na grani. Beznadziejnie głupia, nudna, nieprzyjemna i niezrozumiała praca podpisywania pro forma dokumentów budowlanych, zaświadczenie robót, o których nic nie wiedziałem, wykonanych poza moimi oczami przez złodziei, którzy podczas mrozów zamiast betonu, ukradzionego na własne budowy, sypali w szalunki piasek polewany wodą, a potem urządzali prawdziwe pantomimy, dziwiąc się i pomstując na jakość cementu, gdy z pierwszą odwilżą waliły się nowe wiaty i filary. I tak dalej i dalej.

MAGICZNY CEREMONIAŁ

Lecz dziś nieważna jest ta cała tkanka pospolitych zdarzeń, mogły być byle jakie, to, co się liczyło i miało znaczenie dla dalszego życia, co warto zapisać, to magiczny ceremoniał, jakiego bezwiednie wtedy dokonałem, jeszcze nie zdając sobie sprawy, że wywoła absolutny skutek, że spowoduje materializację myślowego zaczynu: Podczas długich jazd pociągami na „budy” wojskowe, stojąc przy oknie, wpatrywałem się w sunący horyzont i wyobrażałem sobie, że kiedyś będę jechał tak samo, lecz w całkiem innym celu i w innym układzie. Wolny i niezwiązany żadnymi obowiązkami, podróżujący po dalekim świecie, do celu, którym nie będzie kisańcy w błocie fundament, czekający na mnie zapijaczony kierownik budowy, namawiający mnie niestrudzenie do wypicia kielicha i nie wierzą-

cy za nic, że moje odmowy są szczerze – ale starożytne ruiny, egzotyczne góry, dżungla tropikalna, niezbadane jaskinie. Stałem z nosem przy szybie, z cudownym wewnętrznym spokojem, że spełnia się marzenie, że już nim jestem tym człowiekiem, który, wolny od kłopotów i dolegliwości życia, zmierza ku przygodzie, jaka go pasjonuje...

Nie były te jazdy i te myśli całkiem płonne, bo wszystko się ziściło, wszystko, o czym myślałem, stopniowo wyłaniało się zza horyzontu życia i niepostrzeżenie krystalizowało na jawie. Wprawdzie nie pociągami, ale statkiem wielokroć miałem płynąć wzdłuż dalekich wybrzeży, przecinać obce morza, samochodem tygodniami sunąć przez pustynie i stepy, po andyjskich wyżynach, łodziami po zielonych lub czerwonych rzekach, śmigłowcami i samolotami wzdłuż górskich łańcuchów, lodowców, skalnych ścian i szczytów.

Równocześnie z tymi dodającymi mi otuchy i woli przetrwania marzeniami na jawie, snutymi w rytm stukotu kół wagonu, na żelaznych torach, między Krakowem, Tarnowem, Jasłem, Zakopanem, śniły mi się w nocy, raz po raz, wielokrotnie, długie jazdy samochodem przez zamglone krainy, przez falujące pagórki, niewyraźne lasy. I ten sen był jasnowiedzeniem, wyprzedzał czas i zapowiadał to, co stało się rzeczywistością po dziesięciu latach, w 1963 roku, gdy zaczęły się wyprawy na Gobi i wielodniowe jazdy przez step i pustynię ciężarowymi autami, tak oszalałymi i długie, wprawiające w trans umysł, odbierane przez nas jakby sen na jawie, dla mnie ten sam, który przeżyłem już wiele lat temu.

Lecz najpierwszym zacyzmem było jeszcze coś innego. Zacyzmem lub przeczuciem. Zaledwie ośmioletni, klęcząc na dywanie, w mokotowskim mieszkaniu na Naruszewicza, grałem w grę planszową o podróży dookoła świata. Była usiana egzo-

tycznymi nazwami, spośród których z magiczną siłą przyciągało mnie „Valparaiso”. Przypomniałem to sobie, gdy po upływie pół wieku stanąłem pod sosnami na chilijskim brzegu, w ciepłym i słodko pachnącym kwiatami i żywicą powietrzu, patrząc na siwą taflę Pacyfiku. Zatoka Valparaiso, czyli Rajaska Dolina, o tej wczesnej godzinie była osnuta mgłami, a z niej niby duchy wylaniały się jedna po drugiej ciche rybackie łodzie wracające z nocnego połowu. To było to miejsce, niegdyś tylko kółko na mapie, które w rzeczywistości ujrzałem, być może dlatego, że kiedyś jego nazwa oczarowała wyobraźnię ośmioletniego chłopaka.

Toteż kiedy po latach pisałem „Życie jest myślą”, miałem do tej książki solidne podstawy. Ja to z pewnością wiedziałem, że myślowe obrazy i wyobrażenia, to, co ezoterycy nazywają „wizualizacją”, jeśli poparte działaniem, przenikają i mieszają się w niepojęty, ale niewątpliwy sposób z materialnym planem, że mają swój udział w jego kształtowaniu, stwarzają wydarzenia, leżą u ich podłoża, nieustannie płyną gdzieś w podszewce świata i kształtują fale rzeki życia. Zresztą lepsze niż do fal wydaje mi się porównanie mozaiki wydarzeń do kry pływającej na morzu. Przy brzegu lodowe płyty są ściśnięte i unieruchomione. To terazniejszość, nic nie można już w niej zmienić, stało się, skończone. Fakty, ludzie, ich czyny zwarli się, skleszczyli, unieruchomili. Lecz czym dalej od brzegu, w głąb morza, tym pływające płyty pozostają w luźniejszych układach. Czym bliżej horyzontu, tym większa swoboda, tym łatwiej je przesuwac, odpychać, tasować, łączyć i rozdzielać. To przyszłość. Elementy wydarzeń już w niej istnieją, terazniejszość z nich musi się złożyć, ale w jaki sposób, to nie jest przesądzone. Tam można jeszcze wszystko zmieniać, z czym większym wyprzedzeniem, czym dalej od brzegu terazniejszości, tym łatwiej i skuteczniej. Tam do skutecznego

działania wystarczają nawet małe siły, subtelne, nieuchwytnie z pozoru, tak jak myśl i marzenie, działające jak słaby, lecz trwa-ły, uparty powiew wietrzyka, zdolny przesuwac nawet ciężkie płyty, rozległe pola lodowe, z których sami, w ten sposób, możemy układać mozaikę teraźniejszości, taką, jakiej pragniemy. Jeszcze nie wiedziałem wtedy i nie tra-piłem się tą niewiedzą – skąd biorą się myśli i pociąg, a nawet tęsknota, do takiego przemieszczania ciała. Pragnienie niepocho-dzące z wyboru, niewyro-zumowane przez młodego człowieka, który jeszcze nie wie, co chce, co będzie w życiu robił, lecz wylaniające się samo z głębin, z mgieł duszy, spośród kłębiących się tam cieni, nabierające wy-razu, zyskujące kontury, przyjęte przez umysł, lecz przecież poza nim zrodzone. Gdzie – zacząłem rozumieć po latach na lotnisku Maiquetia koło Caracas.

KONIECZNOŚĆ ŻEGLOWANIA

Pięćdziesięcioletni, o siódmej rano, na stosie bagażu, czeka-łem na podkołowanie wyprawowej maszyny. Wokół starto-wały awionetki. Smukłe, białe torpedy, pchane dwoma odrzuto-wymi silnikami, nie biorąc rozpędu, wyskakiwały w górę jak groty wystrzelone z łuku. Wylądował biały jak łazienka samolot. Zanim się zatrzymał, już zza budynku dworca spłynął mu na-przeciw śmigłowiec, tak błyszczący nikłami, jak bateria wannowa. Usiadł przy prezydenckiej maszynie noszącej herb państwo-wy i numer na sterach – 0111. Carlos Perez przesiadł się, zaledwie mignawszy na trapie śnieżnobiałym ubraniem i zniknął, porwany nad dachy.

Patrzyłem na ten obraz ruchu. Na przesuwanie się ludzi, na ich spadanie ku ziemi, wznoszenie się w bolidach do nieba. Przejazdy mechaników autkami, przemarsze pasażerów po płycie, wspinanie się na schody. Obudziło się we mnie nagle zrozumienie... Co za odkrycie! Tak proste, jak nagość króla. Przenoszenie ciała jest ludzkim dążeniem do wszechobecności – najdoskonalszej postaci bytowania. Być wszędzie, to wszystko wiedzieć i nad wszystkim panować. I na cóż były te odwieczne pytania: Dlaczego podróżujesz? Po co tu i tam wchodzisz? Po co wtykasz głowę? Co cię ciągnie na morze? na pustynię? w góry? Dlaczego się wspinasz, drapiesz i wczolgujesz?

Bo czy ktoś pyta nakręcanego żołnierza, dlaczego maszeruje? Śmieszne! On robi to, bo ma w sobie sprężynę. My ją także mamy. Ma ją każde zwierzę. Jesteśmy urządzeniem ruchomym. Nasz sposób życia polega na ruchu. W bezruchu ginimy, przestajemy być sobą.

Poruszam się, bo jestem człowiekiem, któremu kazano żyć w trójwymiarowej przestrzeni, dostępnej dla ruchu. By mnie unieruchomić, trzeba mnie unieruchomić. Do tego służą kajdanki i cela. Żyję dzięki temu, że zmieniam swe miejsce w przestrzeni. A zmieniam, bo dostałem ten swój pakiet genów, chcę czy nie chcę, z wbudowaną ewolucyjnie sprężyną i wyrwać jej nie mogę. Już zanim powstałem było zadecydowane, że zamiast tkwić jak ukwiał przyrośnięty do rafy, będę się przesuwał. Żeglowanie jest koniecznością zadaną, nie jest naszym wynalazkiem ani też zasługą, nie jest wytworem rozumu, myśli czy wyższego ducha.

Skoro nie można już pytać dlaczego? – zostaje co najwyżej pytanie: co jest, a co nie jest podróżą? Jeśli pełzanie niemowlęcia zaspokaja tę samą potrzebę, co wyjazd na inny kontynent, można tylko rozważyć, jakie przemieszczenie ciała oznacza już podróż, a jakie jeszcze nią nie jest?

MIT Z EPOKI SNU

Lecz najpierw były jaskinie i moja drużyna. Gdy dzisiaj, siedemdziesięcioletni, po ponad półwieczu, patrzę na to, w czym brałem udział, a w czym, w istocie rzeczy, głęboko tkwię i dzisiaj, dostrzegam coś na kształt mitu, sagi, legendy, podania równego tym sławnym przekazom o rycerzach Okrągłego Stołu, o trzech muszkietierach czy wiernej drużynie Robin Hooda. Dlaczego nie mamy takiej narodowej, nadwiślańskiej sagi? Jednak ja mam swoją! To było jak w przedhistorycznej erze, w aborygeńskiej Epoce Snu, gdy bogowie i pierwotni bohaterowie kroczyli po Ziemi, wytyczając ścieżki, nadając nazwy, kształty i stwarzając wzory.

To prawda, byłem tam, u początku czasu, i miałem moją drużynę, z nią wytyczałem ścieżki i stwarzałem jaskinie! Przyjaciół? Tak się ich pospolicie nazywa, chociaż my nigdy nie myśleliśmy o sobie w ten sposób. Unikaliśmy zawsze słownego określania naszego związku. Może dlatego, że nazwanie wyznacza kres, zamyka i ogranicza. Przyjaźń dobiega kresu, więc po co ją skazywać nazwaniem? Dziś wiem, że miałem szczęście, jakie niewiele spotyka. Nie było rycerzy, stół nie był okrągły, ale często zbieraliśmy się przy stole w gabinecie, który Kazik Kowalski odziedziczył po ojcu, profesorze Uniwersytetu Jagiellońskiego. Było to w Bronowicach, w jego rodzinnym domu, dawnym, przez miasto już wchłoniętym, dworze. W tych samych krakowskich Bronowicach z „Wesela” Wyspiańskiego. Lecz o ile w „Weselu” sunęła przez izby zbieranina typów niezbornych, zagubionych, nieudanych, mętnych, wzbudających chaos, niemających celu, niezdolnych do działania – u nas było inaczej! Moi towarzysze byli ludźmi czynu, sprawni, wykształ-

ceni i ukształtowani, znający swe cele, zwrócenii ku działaniu, skuteczni i zorganizowani.

Byliśmy drużyną zgodną, jednolitą, poddającą się osądowi ogółu, woli większości, wspólnym postanowieniom. „Burzę mózgów” wynaleźliśmy i stosowaliśmy świadomie, kiedy żadnemu z socjologów w Polsce i na świecie jeszcze się o niej nie śniło. Nie byliśmy grupą barwnych, malowniczych typów, jak to bywa w cyganeriach muzyków czy malarzy. Wszyscy z pozoru spokojni, zwyczajni, nierzucający się w oczy. Łagodni i przyjaźni, z wyjątkiem mnie i Rafała Unruga, często aroganckich i skłonnych do utarczek z każdym „obcym”, który wchodził nam w drogę, a choćby tylko w pole widzenia.

Nasza lojalność była automatyczna, stąd się dowiedziałem, że jest częścią wyposażenia na życie istot w ludzkim ciele. Nie tylko ich, także stad pawianów czy antylop. Błędne są wywody etologów i antropologów, twierdzących, że młode osobniki uczą się socjalnych zachowań. One je dziedziczą, choć nie genetyczną drogą, a po urodzeniu jedynie trenują, ćwiczą i wypróbowują w konfrontacji z życiem i za przykładem rodziców. Wzorce podstawowe zachowań mają wpisane w siebie i muszą je tylko uruchomić, przełożyć na ruchy ciała, gesty i sygnały, w otoczeniu, w którym otworzyły oczy. Tak właśnie jest też z lotem. Młody ptak nie uczy się latać, ta umiejętność jest mu przyrodzona, do niej ukształtowane ma ciało, system nerwowy i psychikę. Obserwowałem to wielokrotnie w dżunglach i na polarnych rubieżach. Zanim wzniesie się w górę, już w naturalny sposób czuje i rozumie latanie, musi tylko zacząć, przekonać się, że może latać, uruchomić mięśnie, wypróbować ruchy i nabrać w tym wprawy. Zresztą jerzykowi i to jest niepotrzebne. Piskłę, gdy dojrzeje, wypada z gniazda i śmiga pod niebo, nie lądując nawet przez dwa lata.

I wreszcie stawaliśmy w Otworze! Serce przyspieszało, skraciał się oddech, nozdrza wypełniał zapach glinki jaskiniowej, uszy – szum wodospadu lub dźwięczenie kropel. Rzucaliśmy się głową naprzód w noc, w otchłań nieznanego, czując, że TO już się staje, że teraz zaczyna się życie, jego pełnia, przybór, zakwitanie, sens i dopełnienie. Zwyczajność, pospolitość, rutyna, bylejakość, nuda opadały z nas tak, jak z węża jego stara, wyświechtana skóra. Czując całym ciałem, wszystkimi zmysłami, przynależność do grupy, związanie, wbudowanie, zwielokrotnienie, wkraczaliśmy w czarny korytarz, a snop światła odpychał zasłonę i pierwszym – naszym – oczom, jakie tu przyniknęły od czasu powstania jaskini, ukazywał Błotne Zamki Niphargusa w Jaskini Miętusiej, przybrane brązowo-białymi koronkami komory Chochołowskiej Szczeliny, bezdenną, najezoną zębami jak paszcza skalnego rekina, gardziel San Agustin w Meksyku, zatapiający pianą, szalejący prąd podziemnej rzeki Gouffre Berger w Alpach, milczące krystaliczne jezioro, przedsiónek miasta-labiryntu, Cueva Fuentes na Kubie, sale jak katedry o niewidzialnych sklepieniach, o ścianach lśniących kryształami, kwarcytowych, najstarszych jaskiń Planety, Sarisariñama w Wenezueli...

Upłynęło półwiecze, wciąż mi się wydaje, że jestem tym samym, sobą niezmienionym, że wszystko było wczoraj, nadal trwa i jutro mogę to powtórzyć. Wszystko nadal tkwi we mnie, zatarły się szczegóły. Zyskałem jednak perspektywę. Zaczynam pojmować, że, być może, wszystko jest na odwrót! To, co uważałem za cel zawiązania się, istnienia i działania Klubu, a więc odkrywanie i grotolażenie, w istocie było tylko drogą do celu prawdziwego, do tej formy życia, do tego wcielenia, jakim jest istnienie w Klubie Grotolażów.